

## CZYSTY TON

Konstantego poznałem dawno przed wojną, w Wilnie. Wydawał mi się zawsze taki, jaki był w swoich wierszach. Ale jest to zapewne uleganie złudzeniom widzieć artystów takimi, jaka jest ich sztuka. Jednakże ja zawsze biorę na serio nawet to, czym artysta chce być, i to, jak chce wyglądać. Uważam, że cechy te, nawet gdy je inni uważają za sztuczne, są w gruncie rzeczy prawdziwe. Konstanty tworzył wobec drugich bajkę, w którą chciał wierzyć; w którą chciał, żeby drudzy wierzyli lub przynajmniej udawali, że wierzą. Ostatecznie, gdy próbuję sobie wyobrazić Chopina, Musseta, Verlaine'a, Wagnera czy nawet Beethovena, to oni także tworzyli wokół siebie jakąś własną atmosferę, w której szczerść i prawda pomieszane były z fantazją, udawaniem, a nierzadko i dziwactwem. Konstanty nie był od nich gorszy ani lepszy. Był prawdziwy nawet tam, gdzie był dziwaczny, był szczery, gdy udawał, mistyfikował i mitologizował. Otaczał się rekwizytornią, która ożywała w jego poezji, nawet gdy te rekwizyty księżycy, dorożek, kolczyków, Bacha i Tycjana powtarzały się w różnych zestawieniach, jak ulubione harmonie, akordy i rysunki melodyjne u muzyka. Po tej węższej czy szerszej rekwizytorni poznajemy artystów, poetów, kompozytorów czy malarzy.

Konstanty musiał mieć ciągle te rekwizyty dookoła siebie. Jeśli nie przedmioty, to przywoływał je słowami, gestem, porozumiewawczym mruganiem oka, zwłaszcza wtedy gdy natrafiał na kogoś, kto brał na serio te reguły jego gry i jego poetyckiego życia.

Zapewne i tu było jedno ze źródeł jego niebezpiecznego kontaktu z alkoholem. Wydaje mi się, że mogło się to nawet zacząć od fonetycznej strony słowa „alkohol”, tak jak i od jego działania, które ułatwiało przeniesienie się w inną rzeczywistość, rzeczywistość balu u Salomona i groteski. Działanie to wciągało Konstantego w niebezpieczną grę, lecz on płynął wtedy w nie istniejących na trzeźwo wymiarach uniesienia lub przygnębienia, które mu były potrzebne. Alkohol to była noc, wszystkie dorożki i księżyce, przewrócenie nie tylko własnej równowagi, ale i równowagi świata.

Konstanty potrzebował depresji i uniesienia, jak potrzebował mistyfikacji, kalamburu i włosów Izoldy. Dwoił i troił rzeczywistość — tak jak dwoił i troił swój rzeczywisty stosunek do żony — co sprawiło, że pozostawił jeden z najpiękniejszych „hymnów do żony”, jakie zna poezja.

Ilekoć go spotykałem, odczuwałem rodzaj zażenowania, jakbym dotykał abstrakcji, samej poezji, ze wszystkim, co jest w niej zmyślane, zobaczone przez pryzmat rozszepiający rzeczywistość na niewidzialne dla innych barwy. Nie wiedziałem, kiedy mówi prawdę, a kiedy na niby, kiedy żartuje, a kiedy mówi na serio, kiedy jest szczery, a kiedy zmyślenie jest jego szczerością. Nie wiedziałem, czy mnie lubi, czy drwi, mówiąc „Zyzio”, „Zyziu”, „Zyziovi” — kiedy bierze siebie na serio, a kiedy mnie. Świat jego był zieloną gęsią albo paryskimi rekolekcjami. Westchnienie i grymas sąsiadowały ze sobą tak blisko, że ślizgałem się po nich jak melodia na trylu instrumentów smyczkowych w orkiestrze. Sądzę, że to jest poezja, cały ten wachlarz, od najbardziej ponurych wizji i przeczuć, które umiał wyrazić kilku słowami, po święto jarmarczne, które tworzył papierową kokardą, kijem, z którym wychodził na spacer, jakby na największą i jedyną w swoim rodzaju wycieczkę.

Taki spacer pamiętam gdzieś w 1946 czy 1947 roku, gdyśmy poszli w kilka osób nad Wisłę, z uroczego starego dworku w Śledziejowicach pod Wieliczką. Konstanty zrobił z tego spaceru wielką ekspedycję, święto, festyn wiejski, wędrowkę magów do zaczarowanej krainy. Wał wiślany, wikliny, ludzie mijani, wszystko urastało do rozmiarów świątecznego pochodu króla poetów. Słowa rzucane we wszystkich językach, Karakuliambro i Hermenegilda Kociubińska, Wergili i Dante, słowiki i kajdaniarskie mazury, wszystko szło z nami, w nawoływaniach i śmiechu Konstantego, w zmyśleniu i prawdzie napotykanych ludzi, słów, zwierząt i roślin. Kilka mleczów w ręce stawało się wieńcem laurowym albo wianuszkiem rucianym, bociany zmieniały się w ibisy i łabędzie, a Wisła w rzekę Limpopo, nad którą chwieją się palmy, małpy i papugi.

Szkoda, że mamy tak mało płyt z nagraniami wierszy deklamowanych przez niego. Gdy mówił je, przejmował mnie dreszcz poetyckiej prawdy. Kochałem jego wiersze i zawsze chciałem

mu to jakoś godnie wyrazić. Dziś otwieram tomiki tych wierszy i czytam jego dedykacje, które tu przekażę, żeby i ta pamiątka została pomnożona drukiem:

Ob. Zygmunt Mycielski  
Kraków

Drogi Zyguncie!

Obiecałeś napisać muzykę do „Listu znad rzeki Limpopo”. Minęło 8 lat i ciągle na witrynach księgarskich szukam tej muzyki bezskutecznie. Telegrafuj.

Twój K. L. Gałczyński  
Kraków, 30 lutego 1947 r.

I druga dedykacja, na tomiku *Zaczarowanej drożki*:

Warszawa, 15 IX 1948.

Drogi Zyguncie!

Z całego serca życzę Tobie, czego i sobie życzę: śmiałego, śpiewającego życia w służbie dla ludzi, najczystszonego tonu w sztuce pod patronatem św. Bacha.

Twój Konstanty

Wręczając mi tomik z powyższymi słowami, napisanymi dużym pismem, zielonym atramentem, śmiał się. To on był trochę zażenowany. Chciał obrócić swoje słowa w żart. Ale w tym żartobliwym uśmiechu wyczuwałem wzruszenie. Konstanty, dając mi to, powtarzał: „Tak, tak, najczystszonego tonu w sztuce... Czysty ton...” powtórzył i nie dokończył zdania. Był wzruszony. Słyszę ten głos, gdy patrzę na pierwszą stronę *Zaczarowanej drożki*. W głowie Konstantego był niepokój, troska, czy aby ten ton jest dość czysty. Nie powiedzieliśmy już sobie ani słowa więcej na ten temat.

**Zygmunt Mycielski, *Szkice i wspomnienia*, Warszawa 1999, s. 86–89.**